

ALBUM O BAŁUTACH

Nakładem wydawnictwa Byłobędzie ukazała się bardzo ciekawa książka pokazująca wielowarstwowość historii i krajobrazu łódzkiej dzielnicy. **Bałuty - palimpsest** to album fotograficzny **Macieja Rawluka**, wzbogacony o teksty kilkorga zaproszonych autorów. Aleksandra Sumorok pisze o socrealistycznej historii dzielnicy, Tomasz Stegliński o swoim dzieciństwie i dorastaniu w kwartale ulic o najgorszej sławie (dzięki uprzejmości wydawcy tekst zamieszczamy poniżej), Bogdan Bujala zajmuje się druzgocą świadomością wydarzeń Wielkiej Szpery, a znakomity fotograf Wojciech Wilczyk porusza problem napisów kibicowskich, którymi oznaczone jest prawie każde miejsce na Bałutach.

Ale ta książka to przede wszystkim zdjęcia - około stu fotografii, wykonanych we fragmencie dzielnicy Bałuty mniej więcej pokrywającym się z obszarem getta Litzmannstadt. Projekt dedykowany jest ofiarom Wielkiej Szpery, dlatego składnikiem wielu zdjęć są sylwetki dzieci i osób starszych. Pozornie chaotyczne kompozycje oddają specyfikę miejsca. Autor zdecydował się pracować aparatami klasycznymi na negatywach. Większość fotografii została zrobiona aparatem 6 x 7 cm, wyposażonym w stały obiektyw 80 mm.

Maciej Rawluk prowadzi Pracownię Dokumentu Fotograficznego w Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi na Wydziale Sztuk Wizualnych, jest autorem projektów fotograficznych: *Przystanki polskie*, *Oddolny dizajn elementu punktowego infrastruktury systemu transportu zbiorowego*, *Jedynka*, *Sukcesje*, *Setka*, *Ojczyzna*.

W swoim autorskim tekście pisze: *Bałuty, jeśli potraktować tę łódzką dzielnicę jak księgę, pisane są zwartym tekstem, gdy brakuje miejsca na kolejne rozdziały, nowe powstają bez dokładnego wymazania poprzednich. Będąc choć trochę wtajemniczonym, tę księgę można czytać. Zobaczymy tu prawie niezmienione od 70 lat kamienice i podwórka, odnajdziemy wśród współczesnych bloków kawałki brukowanych traktów, które ocalały, bo znalazły się na „ziemi niczyjej”. Są tu skromne, ale lubiane bloki z cegły, są nieremontowane nigdy kamienice. Wszystko stojące na ziemi, gdzie miały miejsce zdarzenia tak smutne, że trudno je przeliczyć. Ale jest to też ziemia, gdzie toczy się terażniejszość, ziemia opanowana przez „kibiców”, niemających litości dla żadnego miejsca.*

Książkę można kupić poprzez stronę internetową: www.rawluk.pl oraz w sklepie "Pan Tu Nie Stał" w Off Piotrkowska.

Ważną częścią książki jest esej Tomasza Steglińskiego, który zamieszczamy poniżej:

Tomasz Stegliński
Gdy zabawy służyły upadaniu

1. Początki

Bałuty. Rybna, Piwna, Wrześnieńska, Wrocławska, Lutomińska - to był nasz rewir, to była nasza scena. Limanowskiego stanowiła granicę, za którą panował świat innych, obcych nam grup. Aktorów niewielu, może dziesięciu. Żadnej reżyserii - w dziesięciu głowach mieszały się więc różne

napięcia, lecz przede wszystkim na zmianę przyjaźń i wrogość. Kilkanaście lat tego spektaklu uformowało nas, przy niewielkim wpływie świata dorosłych, a już przy prawie żadnym instytucji czy ustroju państwa.

W naszej okolicy rozbite rodziny stanowiły oczywistość bliską prawom natury. Dom z domieszkującym tam mężczyzną, w którym całość życia próbowała objąć niema od strapień kobieta, był niemalże standardem. Matka na przykład Rudego, delikatna i bezbronna. Edith Piaf, jak nazywał ją Śliwa, częsty bywalec ich poddasza. Poddasza, trzeba dodać, godnego literatury – o niewielkiej ilości światła i sensu, za to z nadmierną liczbą mebli dawnego getta. Choć trzeba przyznać, większość znanych nam domostw tak wyglądała: podłoga z dech, niski sufit, piec na węgiel i brak toalety, łóżko, w którym matka spała z dziećmi, stół, krzesła, szafa. Całość do omiecienia wzrokiem w sekundę.

Rzędy drewnianych domów, które dawniej tam stały, miały swój urok. Kamienice starzały się tak brzydko. To, co z nich zostało, to brud i bieda, bieda, która nie miała tu swoich zaprzeczeń. Ona ujednoczyła styl, doprowadziła do dewastacji. Jak niewidzialny rodzic, wychowywała wielu z nas. Kiedy myślimy, że istnieją systemy wartości lub czytelne hierarchie, które jawnie wskazują, co robić, a czego unikać, mamy szczęście, ale i wiele snu w sobie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia w tej dzielnicy dawnego porządku i głębszego sensu nie istniał już żaden powód dla uwyrażnienia jakiegokolwiek uświadomionej powinności. Bylejakość wszystkiego stanowiła działającą jak instynkt, wszechmogącą formę, której podlegał każdy.

2. Przyroda

Najważniejszy świat rozciągał się za oknami. Piaskownice, podwórka, potem szkolne schody i boiska. Najpierw interesowały nas przedmioty, głównie piłka, kapsle. Potem wreszcie zaczęliśmy też dostrzegać życie – istoty mniejsze od nas, a jednak samodzielne – rośliny i owady. Wpatrywaliśmy się w nie, jak w odległe miasta. Parki i skwery to były kolorowe królestwa. Miały wprawdzie własną milicję obywatelską w postaci tabliczek „Nie deptać trawy”, lecz ta jakoś nas tolerowała. Przyroda odwdzięczała się ludziom Bałut, będąc ich bezpłatnym dziełem sztuki, czasem otaczając opieką urzędnego do nieprzytomności obywatela. Dopełniała krajobraz starych kamienic i przez to świat stawał się znośny. Widzieli to emerycy i widziały to dzieci. Reszta nie, bo żeby zobaczyć przyrodę, trzeba było mieć dużo, dużo czasu.

My mieliśmy, więc odkryło się nie tylko parki, również lasy miejskie i zamiejskie, pola oraz sady. Pełen kolorów dywan zimą znikający. Uwielbialiśmy więc opuszczać zajęcia w szkole, poddawać się przyrodzie, tej która rządzi, lecz nie odpytuje, nie stawia dwój i nie wymaga. Wystarczyło zebrać się w trzech, czterech i zaproponować Arturówek, pieszo lub tramwajem. Wtedy czuliśmy się jak dorośli, przemierzając butnie okoliczne parcele, jedząc kradzioną kukurydzą i jabłką. Wszędzie po zamknięciu, wszędzie bez biletu, przez płot, kraty w oknie albo od piwnicy, a jak nie, to przez dach. Za to zawsze z przekonaniem, że tak czynić należy i tak powinien świat wyglądać.

Byliśmy beztroscy i energiczni, czyli szczęśliwi, jak nigdy później. I wtedy, gdy szliśmy ulicą

Limanowskiego, i wsiadając do tramwaju linii szesnaście, i wtedy, gdy wysiadaliśmy i znów szliśmy po piachu. Do Łągiewnik dochodziło się wieczorem, kiedy złotawo-ciepła szarość jeszcze utrzymywała się przez kilka godzin. A ówczesne godziny to było niezwykle dużo czasu, czasu, któremu nie darowaliśmy ani jednej wolnej minuty.

Kąpielisko w Łągiewnikach utworzono w lesie na malutkiej rzeczce. Nie znaleźliśmy pochodzenia tego miejsca, dzięki czemu uważaliśmy je za odwieczne. Doszliśmy tu, do czasów pradawnych, gdzie nie ma kuratorów i spalin z dwusuwowych aut. Wystarczył widok wylaniającej się spoza drzew tafli wody, a zrzucaliśmy wszystko z siebie, a siebie rzucaliśmy w jej objęcia. To miejsce oczekiwało wyłącznie tego.

Zwykle to Rudy wychodził na brzeg jako ostatni. Pozostali rozpalali ogień, rozświetlający piach plaży pośrodku coraz ciemniejszego lasu. Świat pozbawiał się z wolna kolorów. Siedzący przy ogniu także zdawali się istnieć tylko od tej jednej strony. Rozmawiali o szkole, o tym, kto z kim, i o dziewczynach. Ewa z Piwnej, Agnieszka również, Iza i Beata z Lutomierskiej, chyba z Lutomierskiej. Wszystkie były ponadprzeciętnie piękne, co jak przyznawał każdy, nie było rzeczą gustu. Wydawało się, że szkoła powstała tylko po to, byśmy mogli je podziwiać na przerwach.

Poza żarem ogniska rozpały nas szczegóły dziewczęcej anatomii. Zadziwiająco, jak znikoma ilość faktów mogła stworzyć tyle pięknych i potrzebnych nam wtedy zmyśleń. Te opowieści z tysiąca i jednej nocy rekompensowały poczucie niedosytu dziewcząt, które wędrowały sobie zupełnie innymi ścieżkami. A przecież moglibyśmy przebywać razem i dowiadywać się o sobie prawdy.

Było jednak miejsce, które nas podniecająco zbliżało – basen miejski w Parku Promienistych.

3. Zabawy basenowe

Starsi zdradzili nam, że basen może być darmo, zupełnie darmo. Był tylko pewien warunek bezpłatności – należy się wybrać na pływalnię po zamknięciu. Spróbowaliśmy raz i się udało. Odtąd, każdego ciepłego wieczora, pilnujący obiektu emeryt nie śmiał wychodzić ze swej kryjówki, a jeżeli już, to niedaleko. Większość zażywających wód stanowiły podrostki, ale byli też panowie. Ci, już po zażyciu innych wód, skutecznie odstraszała przedstawiciela porządku publicznego. Milicja nigdy się nie zjawiała. Zatem w dobrej komitywie, łączącej pokolenia uczących się oraz świata pracy, powierzaliśmy wodzie przytomne albo i nieprzytomne ciała. Potem ciała wychodziły niezdarnie na brzeg. My młodzi czerpaliśmy satysfakcję z faktu, że chroni nas obecność tak zwanego elementu. Z tym dodanym poczuciem pewności czuliśmy się silni. Potrząsaliśmy zachlorowanymi włosami, a te stawały się coraz bardziej sypkie od wiatru. Beton, nagrany po całym dniu, ogrzewał boscie stopy i promieniował inną rzeczywistością.

Ten sam basen gościł nas również za dnia. Jego bezpłatność stała się oczywistością, wchodziliśmy przez siatkę i nie rozważało się innych możliwości. Głównym powodem były dziewczęta. One też tylko po to przychodziły – spotkać tych, których oficjalnie się unika. Satysfakcjonującą i uznaną obustronnie formą kontaktu było chichotanie, zaczepki czy podglądanie podczas obwarowanej ręcznikiem zmiany kostiumu. Do żadnych poufałości nie dochodziło. Bawiła nas sama obecność tego stada – niemalże syren czy delfinów. Zwierząt ciekawskich, a przede

wszystkim ufnych w to, że nic – ze strony tych dziwnych i pociągających przybyszy, jakimi byliśmy – im nie grozi.

Wzbogaceniem zabaw basenowych stały się kradzieże. Zbierało się portfele, zegarki i inne fanty z pozostawionych bez dozoru ubrań. Dokumenty wyrzucaliśmy, reszta szła po równo. Sposoby były różne, najprostszy z zawiązywaniem buta. Posiadanie wartościowych rzeczy napawało nas odświętną radością.

Kradzieże to w ogóle była normalna czynność dziecięca w tamtym czasie. Brało się wszystko. Jak nie ze szkolnej szatni, to z piwnicy albo klatki. Rowery, o ile ktoś je miał, ciągle ginęły. Śliwie na przykład podbierali sąsiedzi, i to nagminnie. Wyczynem, ledwie legendą, było włamanie do szkolnego sklepiku. Sprawcy włamania, których nigdy nie wykryto, weszli tam nocą po rynnice. Nawpychali się cukierków i ciastek.

Dzień wypłat nazwaliśmy Dniem Archeologa, czyli zajmowaliśmy się pijakami, uwalniając ich z precjozów oraz częściowo nadpitych już wypłat. Jednak nie powiedziałbym, że wszystkim tym sprawkom winne były złe wzorce. To była spontaniczna bezmyślność, jakaś nowa forma zabawy z elementem ryzyka, gra.

Tygodnie mijały i była już połowa wakacji. Nic szczególnego się nie działo.

4. Osobowości

Docent – zapalony czytelnik, z wyglądu Bogart, prowadzący magiel-prasowalnię. Przyglądał się nam, dzieciakom, a my jemu. Co ważniejsze – nigdy się nie wywyższał. Jak równy równemu opowiadał Cichemu o pikantnych szczegółach pożycia z kobietami, między innymi z jego matką.

Do Docenta trochę podobny był Rudy. Nie raz repetował i przez to osiągnął wiek inny od otoczenia. Biologia uczyniła go naszym przywódcą. Niski, niepozorny, zaniedbany, ale i bystry, pełen pomysłów. Czytał najwięcej. Jego spora biblioteka pochodziła z kradzieży kioskowej. Zarażał w dodatku innych tym czytaniem. Swojemu kuratorowi sprawiał pewnie sporo kłopotów, ale i zapewne dylematów.

Rudy wprowadził nas w muzykę. U niego, pożywiając się chlebem z cukrem, zapoznaliśmy się z *Bohemian Rhapsody*. Nie tylko płyty miał, ale wszechstronną wiedzę, której w żadnej mierze nie zawdzięczał wychowaniu. Jego głowa przechowywała całą historię lotnictwa, każdy z osobna typ samolotu, jego konstruktora, asów pilotażu. To od niego wziął się zwyczaj siedzenia bliżej nieba, na dachach, gdzie często narzucał tematy rozmów. Zresztą znał się na wielu rzeczach – na historii, muzyce, filmie – a przez dorosłych, co ciekawe, uznawany był za dzieciaka najgorszego sortu.

Pozostawał pod wpływem jednego „Desperata”, jak go nazywał Śliwa – siódmoklasisty, za to siedemnastoletniego. Chłopaka ubierającego się zawsze w wojskową kurtkę z naszywką Airborne. Palącego papierosy i spluwającego na dywan. Ze wszystkich ścian jego pokoju spoglądali na tę

swobodę obyczajów wymalowani przez niego żołnierze Wehrmachtu. Raz poczęstował nas cygarami. Skończyło się to wprawdzie - bez zważania na etykietę - rzyganiem, ale winda w tym bloku i tak śmierdziała. „Desperat” potrafił demaskować ignorancję, doprowadzając niektórych nauczycieli do rozpaczy. Siłą jego bezczelności była logika, wobec której pedagodzy byli bezbronni. Antysystemowość, antykomunizm i aspołeczność czyniły go rzeczywistym kontestatorem.

W tamtejszej szarzyźnie charakterów spotkanie takich ludzi pozwalało przeczuć alternatywny kształt nastoletniości.

5. Rynek Bałucki

Przede wszystkim przyjeżdżali tu chłopi, ludzie pracy. Poruszali się leniwie albo zalegali w bezruchu na workach z ziemniakami. Z najtańszymi papierosami w kącikach ust a to przewracali owoce, zasłaniając nadgniłe części, a to polewali je wodą, by odświeżyć. To tu, to tam, spod ubrania lub jakiejś torby, wystawały łby przeznaczonego do zabicia ptactwa. Ptaki oglądały swoim nierozumnym wzrokiem wypatroszone towarzyszki. Gęsi, kury, kaczki, a nawet bażanty się zdarzały i przepiórki. Wszystko przeznaczone do zjedzenia - kwiczące, milczące, bez różnicy. Pośród mrowia pomniejszych zwierząt wywyższały się brudne konie. Cuchnęły od moczu i rozgniatanych kopytami odchodów. Wszędobyłskie muchy oraz rozszczekane psy dotrzymywały im towarzystwa.

Psy również sprzedawano, tuż obok, w dziale zwierząt zwanych domowymi. A także ofiary psów sprzedawano - koty, jak również ofiary kotów - kanarki i akwariowe rybki. Ludzie lgnęli do tych małych istot jak muchy. Cała Stara Łódź miała upodobanie do tego typu współwięźniów. Mniejsi bracia pomagali większym w ich samotnym wegetowaniu.

Kto nie chciał się zadowolić żywą naturą, mógł zostać zbieraczem. Dla takich wystawiali swe skarby wszelkiej maści numizmatycy, filumeniści, filateliści, etykietciarze. Inny sort zbieraczy reprezentowały różne Rączki Zwinne do wszystkiego, rączki co przez tydzień wynosiły ze swych zakładów rozmaite dobro, by pohandlować-potargować nim w sobotę. Niezwykle, jaką ilość straganów mogły zajmować odpadki, szmaty, popękane krany, zardzewiałe śruby, części czegoś, co musiało być kiedyś jakieś, a teraz jest niekompletne lub całkiem niezrozumiałe. Stale wokół tych stoisk kręcili się emeryci, renciści i działkowcy.

Lumpy stanowiły nieskoordynowany element rynku. Poubierani jak z najdziwniejszego teatru, patrzący, gdzie by tu coś skubnąć, coś pożyczyć, byle nie zapracować. Byle się nie zmęczyć, bowiem umęczenie dawno osiągnęło w nich stan krytyczny. Całymi latami rozsypywali się z tego umęczenia, nie mogąc rozsypać się do końca. Lecz choć bełkoczący, choć półprzytomni, z precyzją potrafili określić, ile, kto, kiedy i z kim wypić. Priorytetem było nie dopuścić do kryzysu w kwestii tak zwanego jabola i innych „wynalazków”. Pito wszystko. Denaturat i perfumy, płyny techniczne i spirytus salicylowy, bimber lub sztucznie wino z dodatkiem chemikaliów. Twarze, ich twarze, brudne, bezzębne, z mętными oczkami spod opuchniętych powiek i rozbitych brwi, z połamanymi nosami. I jeszcze te ręce lepiące się do wszystkiego, żebrzące o grosze na płyn. Dzieci szwendały się i pewnie pojawiało się całkiem poważne pytanie: czy ich wątłe siły pozwolą doprowadzić rodziców do domów? Były takie, co popijały z dorosłymi, i to za namową starszych. Wokół wciąż rosły gnijące śmieci, narastał hałas i zgiełk. Część bezsilnych stworzeń leżała już na obrzeżach rynku nieprzytomna, reszta jeszcze siedziała, oczywiście zmierzając w kierunku niepoczytalności.

6. Saturator i inne smaki

Niski mężczyzna w białym fartuchu płukał w swych pulchnych dłoniach niewielkie szklaneczki z grubego szkła. Najpierw z górnej bańki nalewał sok, następnie pod ciśnieniem dodawał wodę z dwutlenkiem węgla. Trunek, mimo prostoty, smakował wybornie. Marzeniem był podwójny sok. Smak dobrze zakodowany w pamięci.

Sklep pani Turlejskiej przy Limanowskiego to było ważne miejsce ze smakami. Prym wiodła oranżada, bułki z rabarborem, gumy do żucia z historyjkami... Dlatego karnie staliśmy w kolejce, wpatrzeni w lukrowane powierzchnie. Sklep był mały i zawsze pełen ludzi, ale nigdy nie udawało się niczego ukraść. Naprzeciwko Turlejskich był spożywczy, tam królowała oranżada Alpine. Była wspaniała, również wizualnie. Czekolada, której w rzeczywistości nie było, też. Dzieciaki marzyły o niej. Któregoś dnia matka Cichego pokazała nam, jak ją zrobić z masła i kakao... wszyscy byli zachwyceni.

W latach siedemdziesiątych raz na Pivnej zaparkował mercedes. Chłopcy od razu odkręcili mu z przodu znaczek. To był smaczek.

7. Robert, anioł zła i humoru

Robert, syn milicjanta, czasem czuł się w domu jak na komendzie. Ojciec walił go co sił po pustej głowie, co miało czegoś nauczyć i wyprowadzić ponoć na ludzi. Robcio, będąc niepodatnym na wiedzę inną niż wewnętrzna, zwijał się wtedy w kłębek i nie reagował. Świadkiem tych krwawych ekscesów był Śliwa, który czuł się w tamtym domu zaskakująco dobrze. Tata milicjant jednak niebawem zmarł i atmosfera uległa wyraźnemu rozluźnieniu.

Wtedy okazało się, że Robert ma poczucie humoru, a jakoby pusta głowa jest kopalnią rewelacyjnych pomysłów. Śliwie to imponowało. Jedną z idei mogli realizować poprzez woźną, która była babką Roberta. Szkolna przestrzeń, w dzień zarezerwowana dla szczytnych celów, wieczorem należała wyłącznie do nich. Grali w piłkę na sali gimnastycznej albo odwiedzali strych lub schodzili do piwnic. Pewna Ania doniosła, że palą na strychu papierosy. Są ludzie zdolni do donosu - tego wcześniej nie wiedzieli.

Dwie różne formy oglądu szkoły dały Śliwie ambiwalentny do niej stosunek: i sympatii, i ironii. Udało się szkołę zdemaskować, dostrzec jej niegroźny charakter i pozbawić patosu. Bogatsi o tę wiedzę chłopcy w drodze postępującej demoralizacji rozluźniali związki ze światem urzędowo wyznaczanych form. Robcio wchodził i wychodził z formy wdychając klej. Potem pił i szukał problemów, co bez trudu się udawało. Z pomysłowych dzieci wielu przekształcało się w nastolatków zagrażających najbliższym, wprowadzających domowy terror, wymuszających pieniądze od uczciwie pracujących.

8. Dachy

„Jest Jawa?” padało pytanie, a ona, wołając „Daareek!”, oddalała się bezpowrotnie. Uwielbialiśmy nachodzić dom Jawy z nadzieją zobaczenia Jej, czyli siostry jego. Ta wyczuwalna odrobina sympatii w głosie otwierającej nam drzwi uszczęśliwiała nas, jak nie wiem. Wystarczała, by się zakochać. A jeśli nawet słyszeliśmy „Darka nie ma” i drzwi powoli się zamykały, pomocą służyły dachy pobliskich garaży. Stamtąd patrzyliśmy jak ona, z-Jawa, chodzi sobie po mieszkaniu.

Na dachy kamienic też można było się dostać. Zwykle po drabinie albo po wmurowanych w ściany prętach. Czasem po drewnianych, uginających się schodach strychów, czasem przeciskając się przez jakąś wąską i ciemną od brudu gardziel. W końcu zostawało tylko otworzyć wieko. Z dachu każda rzecz wygląda inaczej, na dachu było się bliżej nieba, z dachu można skoczyć i być bardzo szybko w ziemi. Objęcie wzrokiem wszystkiego, co jeszcze przed chwilą było zbyt wielkie, dawało nam poczucie panowania. Czuliśmy tak, niczego nie posiadając i nie znacząc tam na dole nic. Siadaliśmy pod kominami na zasmałowanej papie i albo toczyły się poważnie rozmowy poważnych dusz, albo bawiliśmy się żołnierzykami z plastyku.

Tylko tam, na wysokościach, rozmaite obrazy spinały się szpilkami myślenia, fastrygowały niemi pamięci, tylko tam łączyły się w prowizoryczną i prywatną mapę świata. Niedowartościowanym ludziom, jakimi byliśmy, bardzo podobał się ten przywilej wniebowstąpienia.

9. Koniec dzieciństwa

Podstawówkę większość z nas traktowała jako koniec wszelkiej szkoły. Już wtedy piło się ostro. Czego mieli się nauczyć, tego się już nauczyli. Konieczna była wiedza, jak ocenić ryzyko, jak nie dostać w twarz, kogo wyśmiewać, a kogo podziwiać. Bardzo przydawało się wiedzieć, jak lawirować. Wszystko inne było zawodne. Wiedza ta nie uchroniła niektórych od więzienia – jeden kradł, drugi kradł, trzeci i czwarty zgwałcił, a piąty dźgnął nożem swoją kobietę. Szósty też dźgnął, ale w bramie i przez przypadek. Więzienia nie poznali ci, co się zapili: Jacek oraz Zbyszek alias Redford. Tylko Charlie pracował – w tramwajach. Ten okres zamyka chłód prosektorium sądowego, gdzie identyfikowałem drogiego mi kuzyna.

Pod koniec lat osiemdziesiątych wciąż mieszkalem na Bałutach. Najpierw długo z Matką w kuchni przedzielonej szafą. Potem na Wojska Polskiego. Nie lubiłem tego miejsca, bo pod oknem dudniły tramwaje, a w oddali snuł się milczący cmentarz. Ale przyszła tam kiedyś Moja Pani. Razem się uczyliśmy, razem kupowaliśmy motocykl, samochód i razem udawaliśmy dorosłych. Nie Bałuty, ale książki i obrazy stały się naszym życiem w późniejszych latach.

Dziś, oczami pamięci, patrzę z okna małego mieszkanka na Osiedlowej na brzydkie kamienice mojego dzieciństwa. Teraz jestem ponad dachami, po których nie biegają już dzieci. Wysoko, na niebie szarym od chmur, pojawia się czasem tęcza, która jak most łączy mnie z

przeszłością. Jednak po miejscach należących do Moich Dawnych Przyjaciół chodzą teraz inni młodzi, pozbawieni serc i dusz. Gardzę nimi, może dlatego, że nie mierzą się, jak my to czyniliśmy, z lepszą wersją samych siebie.